

„MALARZ WEWNĘTRZNEGO NIEPOKOJU”

rozmowa ze Zdzisławem Beksińskim

(« Plus » s.34-35)

Zdzisław Beksiński urodził się 24 lutego 1929 r. w Sanoku, studiował architekturę na Politechnice Krakowskiej. Wkrótce po studiach zorientował się, że mija się z powołaniem. Zainteresował się fotografią. Słynne był jego zdjęcie aktu kobiecego, gdzie ciało zostało wcześniej przez artystę związane sznurkiem jak mięso do pieczenia. Fotografie jednak szybko porzucił, bo była wizerunkiem realnego świata, a taki jest mu całkowicie obcy. W tym czasie rysował dużo kompozycji ekspresjonistycznych. Na przełomie lat 50. i 60. zajął się abstrakcyjnymi kompozycjami, realizowanymi różnymi technikami plastycznymi: rysunkiem, obrazem, reliefem ze sztucznych tworzyw oraz drutu i blachy, a także rzeźbami i płaskorzeźbami z gipsu.

Od 1974 r. Beksiński maluje wyłącznie obrazy, zazwyczaj techniką olejną. Stale pojawiają się na nich te same motywy: głów bądź postaci obleczonych łuszczącą się skórą-pajęczyną, twarzy z profilu w hełmach kutych w najprzeróżniejsze wzory, ukrzyżowań, płonących domów-katedr, obiektów lecących w powietrzu, trupiopodobnych stworów pełzających po ziemi, pejzaży z motywami pojedynczych drzew, nagrobków, postaci na krzesłach. Żadne z tych dzieł nie jest malowane z natury. Każde z nich powstało w domowym atelier przy dźwiękach muzyki.

Beksiński był związany przez 11 lat kontraktem na wyłączność z Piotrem Dmochowskim. Miał kilkanaście wystaw indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą. Niektóre z jego obrazów znajdują się na stałe w zbiorach różnych muzeów.

Jaka jest Pana filozofia życia?

Jestem człowiekiem, który się składa nie tyle z przekonań, co z wątpliwości. Mój system wartości jest nieustannie in statu nascendi. Wciąż poszukuję w tym wszystkim jakiegoś porządku. Rozważania o charakterze metafizycznym zajmują mi większość czasu przy

malowaniu. To są wszystko lęki człowieka, który musi umrzeć. Każdy z nas wymyśla jakieś konstrukcje bądź wchodzi w gotowe systemy, które mają zapewnić jego robaczywej egzystencji sens nadrzędny.

Czy są czyny ludzkie, które uważa Pan za moralnie niedopuszczalne, i takie, które według Pana są największym aktem miłości, heroizmu, poświęcenia?

Na pewno są, ale ja nie posiadam konkretnego systemu odniesień. To, co jest dla mnie czynnością odrażającą, nie jest takie np. dla zwolennika wojującego islamu. Odczuwam obawę przed wartościowaniem. Swego czasu zadano podobne pytanie Polańskiemu i odpowiedział: „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe”. Mógłbym się pod tym podpisać. Jestem wychowany w religii chrześcijańskiej i uzyskałem w ten sposób pewien system wartości, którego nie chce mi się zmieniać, bo po co? Wszystkie systemy wartości są w jakiś sposób ograniczone, bo są stworzone przez nasz ograniczony umysł i dla naszych ograniczonych potrzeb. W zasadzie akceptuję dziesięcioro przykazań. Jest to wynik i wychowania, i rezygnacji. Braku nadziei na to, że można wymyślić coś uniwersalnego.

Czy mimo tego braku nadziei jest Pan szczęśliwy?

Do szczęścia się dąży, to jest coś w rodzaju gwiazdy na horyzoncie. Póki wydaje mi się, że zbliżam się w kierunku tej gwiazdy, to jestem zadowolony z życia. Bałbym się użyć słowa „szczęśliwy”, ale jestem człowiekiem zrównoważonym, który nie potrzebuje dodatkowych bodźców, żeby funkcjonować.

Ale przecież jest jeszcze inna filozofia: szczęście jest w nas, jest stanem wewnętrznego pokoju.

To w takim razie umarłak ma chyba największe poczucie szczęścia. Nigdy nie mogłem przekonać się do buddyzmu właśnie z tego powodu, że stan Pełni i Równowagi, który mi reklamowano jako stan idealny, wydawał mi się przerażający.

Czyż tego idealnego stanu nie osiąga Pan malując? Przecież nie myśli Pan o przyszłym odbiorcy?

Rzeczywiście, maluję dla siebie. I najchętniej, gdybym miał wystarczającą ilość pieniędzy, nie sprzedałbym żadnego obrazu. Zazwyczaj, gdy ktoś chce kupić mój obraz, zasłaniam się kierowniczką galerii, bo ona jest twardsza niż ja i jak mówi „nie”, to znaczy „nie”, a mnie można łatwiej zmiękczyć. Na skutek tego traciłem wiele obrazów, które wolałbym zachować dla siebie.

W takim razie czym dla Pana jest twórczość?

Jest to przyjemność, która wynika z tworzenia. Człowiekowi się wydaje, że to, co robi, ma sens, obojętnie, czy będzie przestawiał figury na szachownicy – przecież są ludzie, którzy temu poświęcają życie – czy też uprawiał kulturystykę, wspinaczkę lub malowanie obrazów. Jest to zapewne, bezsensowna krzątanina mrówek. Ja wypełniam swoje życie, machając

pędzłem przy sztalugach, ale każdy inny wybór byłby równie bezsensowny, więc przyjemność i jakiś tam cień nadziei stąd płynący, stają się wyłącznym powodem działania.

Wiem, że bez muzyki nie jest Pan w stanie malować. Czy chodzi o jakiś konkretny gatunek muzyki?

Jest to głównie muzyka klasyczna. Najbardziej lubię muzykę drugiej połowy XIX wieku i współczesną. Mniej lubię muzykę lat dwudziestych i trzydziestych naszego stulecia, np. Bartóka, Strawińskiego, a ze współczesnych Messlaena czy Lutosławskiego. Bardzo lubię rosyjskich kompozytorów współczesnych: Artymowa, Sznittkego, Denisowa, a z amerykańskich – Adamsa, Glassa. Słucham też muzyki pop.

A poza muzyką, czy jakieś współczesne zjawisko wydaje się Panu interesujące?

Rzeczywistość wirtualna. To dopiero początek, bo nikt jeszcze nie stworzył komputera, który mógłby w tzw. czasie rzeczywistym kreować rzeczywistość taką rozdzielczością, jaką daje

oko ludzkie. Sam chętnie zająłbym się animacją komputerową, gdyby sprzęt potrzebny w tym celu nie był taki drogi. Zresztą czasem zastanawiam się, czy i my nie żyjemy w rzeczywistości wirtualnej. Świat wygląda tak, jak go postrzegamy, tylko dlatego, że nauczyliśmy się go w ten sposób postrzegać. Nie jesteśmy nawet pewni, czy gwiazdy, wszechświat, jednym słowem: przestrzeń jest czymś istniejącym obiektywnie, czy też może ubocznym produktem naszego sposobu postrzegania?

Czy widzi Pan zagrożenie płynące z rzeczywistości wirtualnej?

Twierdzenie, że utoniemy w rzeczywistości wirtualnej, mnie nie przeraża. Przede wszystkim nie zapewni nam ona jedzenia w garnku. W przygotowaniu jest jednak róg obfitości z atrakcjami. Przed rokiem czy dwoma oglądałem w niemieckiej telewizji pełnych twórczego entuzjazmu młodych maniaków, którzy pracują nad cyberseksem. Wymyślają oni, w jaki sposób można stworzyć problemy następnemu papieżowi. Wtedy, gdy już nie będzie problemu dziecka poczętego, dzieci zapewne przestaną się normalnie rodzić, bo kto będzie

chciał te rzeczy robić z własną żoną, skoro będzie miał do dyspozycji Claudię Schiffer i będzie ją sobie można jeszcze myślał nieco udoskonalić, stosownie do własnych upodobań.

Mam wrażenie, że to właśnie w ucieczce od doskonałości i piękna Pana obrazy są tak makabryczne i tragiczne?

Nie wydaje mi się, bym malował makabrę. Poza tym pani przedstawia te dwie rzeczy jako sprzeczność. Czy makabra nie może być piękna? Poza tym jest to trochę przeciwstawianie sznycla rowerowi i pytanie, co lepsze: sznycel czy rower? Wreszcie piękno jest czymś subiektywnym i każdy z nas inaczej postrzega świat.

W Pana twórczości często pojawia się motyw krzyża. Jest on także dla Pana symbolem zbawienia?

To jest chyba zupełnie nieświadomie używany symbol, on robi na mnie silne wrażenie od dzieciństwa. Wielokrotnie robiłem rysunki, jeszcze w dzieciństwie, przedstawiające krzyż.

Żyjemy w kraju chrześcijańskim, gdzie na każdym cmentarzu są setki krzyży. Być może to mnie inspiruje? Jestem „z pochodzenia” katolikiem, ale nie jestem człowiekiem religijnym, nie chodzę do Kościoła, bezpośrednio z religią nie mam nic wspólnego.

Ale odbiorcy krzyż kojarzy się bardzo jednoznacznie. Czy nikt nie poczuł się zraniony w swych uczuciach religijnych namalowaniem przez Pana rozpiętych na krzyżu szczątków ciała ludzkiego?

Spotkałem się i z zarzutami, i z pochwałami z tego powodu. Każdy widzi po swojemu. Absolutnie nie miałem zamiaru kogokolwiek dotknąć. Gotów jestem za każdym razem przeprosić. Ale nie mogę dopasowywać tego, co mi przychodzi do głowy, do tego, co widzą inni, bo każdy widzi co innego, każdy ma inna hierarchię wartości. Musiałbym w takiej sytuacji w ogóle przestać malować, by niechcący kogoś nie dotknąć. Pewna pani napisała mi, że maluję Chrystusa, bo gdyby Chrystus nie chciał występować na moich obrazach, to bym takich obrazów nie był w stanie namalować. W ubiegłym roku miałem wystawę w Muzeum

Archidiecezji. Staruszek ksiądz, który leżał w szpitalu, powiedział znajomemu lekarzowi, że na obrazach Bekszińskiego jest Szatan. To co ja mam w takiej sytuacji począć?

Dorota Gradzińska

Nie jest to malarstwo symboliczne i nie zawiera w sobie żadnych dodatkowych znaczeń w rodzaju „krzepienia serc” bądź „ukazywania zła tego świata”. Kto domaga się rozwiązania rzekomych zagadek ukrytych w malowanych scenach, ludziach i przedmiotach, popełnia podstawowy błąd: obrazy te ujawniają rzeczywistość pozarozumową i pozalogiczną

Tadeusz Nyczek

Podpisy zdjęć:

- *Artysta w swojej pracowni*

- *1971, płyta pilśniowa, olej, 150 x 122 cm*
- *1984, płyta pilśniowa, akryl, 102 x 98 cm*